



## **Eligiusz (Wojtek) Bieliński i Zofia Bielińska**

Nie będzie ani odrobiny przesady w stwierdzeniu, że z Wojtkiem znaliśmy się od urodzenia. Dokładnie to Wojtek znał mnie od mojego urodzenia, albowiem: po pierwsze, jestem od niego kilka lat młodszy, więc kiedy się urodziłem, on mógł przyjść mnie zobaczyć; po drugie, jest moim bliskim kuzynem, konkretnie ciotecznym bratem; po trzecie wreszcie, mieszkaliśmy całkiem niedaleko siebie. Jestem zatem przekonany, że od tego momentu, kiedy się urodziłem, Wojtek mnie znał.

Jak każdy młody chłopak byłem oczywiście zawsze szczęśliwy, gdy mogłem dołączyć do grupy starszych bawiących się kolegów. Ci młodszy zawsze ciągną do starszych grup. Tak było i ze mną, dlatego czasem zdarzało się, że występowaliśmy z Wojtkiem w jakiś wspólnych zabawach, typu podchody, gra w zbijaka, w dwa ognie, czy w chowanego.

Z późniejszych lat dziecięcych pamiętam takie zabawy obyczajowe, czyli na przykład chodzenie jako przebierańcy w ostatki, wybijanie półpościa w Wielkim Poście, malowanie szyb na nowy rok itp. Muszę powiedzieć, że Wojtek był, jeśli chodzi o te zabawy, niezwykle pomysłowym. Był inicjatorem, ale i wykonawcą wszelkiego rodzaju psikusów, jakie można było zrobić sąsiadom. Takich niewinnych zabaw, jak chociażby tych związanych z tradycyjnymi przebierańcami. Zimy były wtedy surowe, więc na przykład taka rzecz, jak wyciągnięcie sąsiadowi z podwórka na środek stawu wozu konnego i następnie naniesienie na ten wóz całej sterty zalegającej słomy, było możliwe. A to wszystko zdarzyło się jednej nocy, jako taki psikus za to, że gospodarz nie wpuścił przebierańców do domu.

Kiedy Wojtek został uczniem średniej szkoły, a był jednym z pierwszych mieszkańców Skarżyc na tym poziomie kształcenia, choć drugim uczniem ze wsi w Gołądkowie, bo przed wojną w jednym z pierwszych roczników Szkoły Męskiej Rolniczej był Wojtka, właściwie jego rodziców, sąsiad. Gdy Wojtek rozpoczął naukę w szkole, jego rodzice byli z tego faktu niezwykle dumni. Przecież niewiele było osób nawet w szerszym otoczeniu, które miały średnie wykształcenie. Do tego dochodziła gołądkowska czapka, którą Wojtek - pamiętam - z dumą nosił, i w której można się było pokazać jako wyróżniający się młodzieniec.

Pamiętam opowiadania wujostwa, rodziców Wojtka, bo on sam się tym nie chwalił, że w szkole w Gołądkowie strasznie „piłują”, co oznacza, że nauczyciele dużo wymagają.

Po kilku latach, kiedy sam sprawdziłem na własnej skórze, okazało się to prawdą. Wcześniej brzmiało mi to jako taki przejaw doceniania zdobywanego przez Wojtka wykształcenia. Wuj Marian, tak miał na imię ojciec Wojtka, na każdym kroku podkreślał, że jego syn uczy się w Gołądkowie. Było to zatem coś, co było powodem niebywałej dumy rodziców.

Tak się złożyło, że rozpocząłem naukę w Gołądkowie po wakacjach, a w poprzednim roku Wojtek szkołę ukończył. Jak często w nauczycielskim fachu bywa, wychowawca Wojtka,

kiedy jego klasa opuściła już mury szkoły, dostał nowe wychowawstwo, czyli klasę, w której byłem ja.

Pan profesor Janusz Gajda, bo o nim tutaj mówię, był naprawdę wymagającym nauczycielem. Przekonałem się o tym bardzo szybko. Uczył nas polskiego. Nas, wiejskie dzieci, które przyszły z różnych szkół podstawowych i o różnym poziomie nauczania języka, starał się uczyć na najwyższym poziomie. Można sobie tylko dziś wyobrazić, że my, czternastolatki, mieliśmy czytać i omawiać artykuły z *Kultury* i *Życia Literackiego*. Nawet dziś, gdyby te czasopisma się ukazywały, należałyby do czasopism elitarnych, więc gdzie nam młodym dzieciakom było podejść do tych czasopism z należytym zrozumieniem. A jednak profesor Gajda od nas tego wymagał. Tego nas również uczył, pokazywał, na co powinniśmy artykułach zwracać uwagę, co jest wartościowe w kulturze, a co jest tylko błyskotką. To, między innymi, było to piłowanie, o którym mówili rodzice Wojtka. Przekonałem się więc szybko, że nie było żadnej przesady w jego stwierdzeniach.

Po kilku latach Wojtek objął gospodarstwo i zaczął w swojej pracy wdrażać to, czego w Gołdkowie się nauczył. Było to widać bardzo szybko. Ale związków z Gołdkowem nie zerwał: bywał częstym gościem na szkolnych imprezach, chodził do internatu, do nauczycieli. Spekulowaliśmy w rodzinie, że on pewnie szuka tam żony na odpowiadającym mu poziomie. No a gdzież, jak nie tam, można znaleźć taką, która będzie rozumiała gospodarstwo i nadawała się na doskonałą gospodynię?

I taką tam znalazł. Zosia okazała się idealnym wręcz partnerem w sprawach zawodowych, ale przede wszystkim doskonałym partnerem życiowym. Obydwoje bardzo podnieśli standard gospodarowania, pokazali, że absolwenci Gołdkowa potrafią nie tylko pracować wydajnie na roli, ale także być aktywnymi społecznie w środowisku, że potrafią się bawić, zajmować problemami innych. Jednym słowem stanowili taką elitę miejscową. Trudno by było wymienić wszystkie aktywności, gdzie się udzielali: kółka rolnicze, banki spółdzielcze, spółdzielnie mleczarskie i ogrodnicze.

A propos spółdzielczości ogrodniczej, to muszę powiedzieć tu o czymś bardzo osobistym. Wystąpiłem z Wojtkiem w drużynie na wojewódzkiej olimpiadzie wiedzy spółdzielczej w 1972 roku i wygraliśmy tę olimpiadę – zarówno w konkurencji indywidualnej, jak i drużynowej. Poza satysfakcją i nagrodą za zwycięstwo, mam jeszcze to, że tam poznałem swoją przyszłą żonę, a Wojtek się do tego walenie przyczynił. W dniu gołdkowskiego jubileuszu, czyli 08 czerwca 2024 roku, będziemy z żoną świętowali Złote Gody. To jest powód, dla którego nie będzie mnie fizycznie tego dnia w Gołdkowie.

Bielińscy byli w wielu miejscach. Jak było do przewidzenia, również ich dzieci, a teraz już nawet wnuki, są uczniami gołdkowskiej szkoły. To już trzecie pokolenie Bielińskich uczy się tutaj. Niezależnie od tego, co będą robili potem, jakie ukończą studia, jakie wybiorą zawody, podstawą ich wykształcenia będzie szkoła w Gołdkowie. Szkoła, która jest blisko, która jest dobra, która jest zrośnięta ze środowiskiem, która przygotowuje do zawodu, ale przede wszystkim uczy życia w otoczeniu rolniczym, jakim niewątpliwie są Skarżyce skąd Wojtek pochodzi.

